



Bernlef „Niewdzięczna pamięć”

Fragment

W DZIECIŃSTWIE często ci się to zdarzało. Budziłeś się rano, a ściany twojego pokoju nie stały na swoim miejscu. Musiałeś w myślach przesunąć pokój o jeden skok, by znowu wszystko się zgadzało i żebyś mógł wstać, wyjść za drzwi, rozpocząć nowy dzień.

Z rękami pod głową patrzę na lazurowe bawełniane zasłony w sypialni, a w myślach ponownie ustawiam pokoje w domu na swoim miejscu. Vera już chyba wstała, choć nie dochodzą mnie żadne odgłosy. Światło, mimo że złagodzone przez zasłony, jest chłodne i twarde. W nocy znowu padał śnieg, myślę.

Wstaję z łóżka i rozsuwam kotary. Wygląda na to, że jednak nie padało. Ślady Roberta, głęboko odcisnięte w śniegu, są na obrzeżach mniej wyraźne, a więc nie mogą być świeże. Wierzchołki sosen sterczą w powietrzu nieruchomo jak miotły. Wąska wydeptana ścieżka biegnie od werandy do ciemnozielonej szopy po prawej stronie w głębi ogrodu.

Myję zęby, szukając jednocześnie słów na określenie tego, co czuję. Jakby siedział we mnie ktoś, kto pamięta inny dom, którego układ biegnie czasem w poprzek obecnego. Pokoje powinna cechować absolutna niezmienność. Sposób, w jaki jeden przechodzi w drugi, najlepiej ustalić raz na zawsze. To oczywiste, że trzeba móc otworzyć drzwi. Bez strachu i niepewności wywołanych tym, że człowiek nie ma pojęcia, co za nimi znajdzie.

Stoję przed szafą. Dziś decyduję się na czarny garnitur, który kupiłem w Rowlands na Lafayette Street. Ze względu na głębokie kieszenie od spodu. Mieści się w nich nawet mój notatnik biurowy. Wyczuwam coś w lewej kieszonce.

Pocztówka z widokiem białego jak mleko, otynkowanego meksykańskiego kościółka. Słońce stoi zapewne dokładnie nad nim, bo nigdzie nie widać cienia. Otwarte na oścież drzwi tworzą sklepioną czarną dziurę. „Uściski” – Kitty. Stempel pocztowy sprzed sześciu lat. To oczywiście żart któregoś z kolegów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to był Maurice Chauvas. Zawsze jak z rękawa sypie historyjkami o swoich podbojach. Wie, że sobie tego nie życzę. Pewnie myśli, że Vera sprawdza mi kieszenie, gdy wracam z biura. Przeciągam pasek przez szlufki w spodniach, zapinam go i wychodzę z sypialni. Odkąd przestałem pić piwo, sporo schudłem.

Vera poszła już pewnie do biblioteki. W poniedziałki i środy rano ma tam dyżur jako wolontariuszka. Sporządzanie fiszek. Tu ciągle robią to ręcznie. Vera ma odpowiednie pismo.

Małe, proste i wyraźne.

Idę do kuchni i otwieram drzwi lodówki, która natychmiast się włącza, jakby, mrużąc i drżąc, życzyła mi dobrego dnia.

Jak się raz zacznie jeść, trudno przestać. Przeżuwanie jest niezbędne. Zawsze należy dokładnie przeżuwać, powoli, aż wszystko zostanie starte na drobne kawałeczki. Dopiero potem przełykać. Swoją drogą, ten kurczak zaostrza apetyt. Masz, Robert. Rzucam mu parę ogryzionych kości. Zobaczmy dalej. Paszтет z wątróbki i plasterek zimnego ananasa z puszki obok. Robertowi też się jeszcze chce jeść. Może dostać połowę tej paczki ciastek, ale nie więcej. Resztę zjem ja. Z pustym żołądkiem źle się pracuje. Poza tym zawsze się boję, że podczas zebrania rozlegnie się burczenie moich wnętrzności. Wnętrzności. Kiedy się o tym myśli, patrząc na powleczony politurą stół, i widzi, jak oni wszyscy tak tam sobie siedzą w garniturach, z papierami przed sobą, a w środku są pełni krwi i mają całe metry poskręcanych jelit oraz pompujące serce – kiedy się o tym pomyśli, trudno powstrzymać się od śmiechu. Pycha, ten lodowaty sok pomarańczowy lany z butelki wprost do gardła. Trochę też obok, ale kto by się tym przejmował. Wytrze się serwetką i znowu elegant z człowieka.

– Chodź, Robert, już czas. Bałagan posprzątam wieczorem.

Ile to razy mówiłem Verze, żeby niczego nie ruszała na moim biurku? Teczka, tak jak powinna, stoi na swoim miejscu na podłodze, ale gdzie są papiery? Może zostaną rozdane na zebraniu. To się często zdarza podczas specjalnych zebrań okresowych. Mimo wszystko wezmę teczkę, bo zawsze dochodzą nowe dokumenty. Produkowanie papierków – w tym jesteśmy w IMCO dobrzy. Raporty z połowów w ostatnim kwartale, prognozy wędrówek łososia. Odkąd pracuję w IMCO, jeszcze się nie sprawdziły. Tylko rak jest wiarygodny, zarówno jeśli chodzi o jego przemieszczanie się, jak i o ilość. Ale co te ryby mają wspólnego z grupką panów siedzących sobie wygodnie gdzieś w biurze w Bostonie, którzy w miarę sprawiedliwie chcieliby podzielić ich połowy między różne kraje świata? Jeśli zaczniesz myśleć w ten sposób, powiedział mi kiedyś Leon Bähr, to lepiej zostań w domu. Ale nic z tego. Pochylamy się nad zestawieniami komputerowymi, modelami i scenariuszami, a sterta papierów rośnie i rośnie, ryby w morzach zaś pływają i pływają, nie mając pojęcia o naszym istnieniu.

Szukanie. Coś, czego nie cierpię. Gdzie są moje klucze? A w ogóle co za idiota pozamykał na klucz wszystkie drzwi? Robert grzecznie za mną chodzi, kiedy próbuję otworzyć drzwi do kuchni, pralni i wejściowe. Vera zamknęła je chyba na podwójny zamek. Jak mogła zrobić coś tak głupiego?

Podchodzę do telefonu i dzwonię do biblioteki. Wyjaśniam dziewczęcemu głosowi, kim

jestem, i pytam, czy mogę rozmawiać z moją żoną, to bardzo pilne, bo muszę zaraz wyjść na ważne zebranie. Prosi, żebym chwileczkę zaczekał, ale ta chwileczka trwa tak długo, że wreszcie ze złością rzucam słuchawkę na widełki. Muszę iść na to spotkanie. Teraz. Bez sekretarza nie dadzą rady.

Na półce w pralni od razu znajduję to, czego szukam. Z drewnianej skrzynki na narzędzia wyjmuję śrubokręt i młotek, podchodzę do drzwi pralni.

Idzie mi łatwiej, niż sądziłem. Wciskam śrubokręt między drzwi i futrynę. Po kilku uderzeniach drzwi odskakują, otwierając się do środka. Robert natychmiast wymyka się na dwór i szczeka kilkakrotnie, zadowolony, że i jego uwolniono.

Szybko wracam na korytarz, zarzucam palto i chwytam z pokoju teczkę. Na wszelki wypadek wkładam do niej śrubokręt i młotek. W przelocie widzę, że jest za kwadrans jedenasta. Muszę więc gnać na złamanie karku.

Robertowi nic więcej nie trzeba do szczęścia. Biegnie przede mną kłusem, raz prawą, raz lewą stroną ścieżki i puszcza się przodem daleko w ośnieżony las, by następnie, machając ogonem, czekać na mnie z parującym pyskiem.

Nie jest to oficjalna droga, tylko dróżka między posesjami. Mija się kamienny dom Cheeverów i zaniedbaną drewnianą chatę Pat i Marka Stevensów. Ich ogród to jeden wielki rozgardiasz. Teraz na przykład stoi tam na wpół rozebrany ognistoczerwony samochód dostawczy bez kół, należący kiedyś, jak wynika z napisu na drzwiach, do Norton's Hardware Store. Tuż za domem Pat i Marka kończy się las, a zaczynają wydmy. Mają kolor wyblakłego sztruksu. Albo rogoży. Wiatr zrobił wyżłobienia w śniegu u stóp wydmowych wzniesień. Wyglądają jak zakrzepłe fale. Jestem pierwszy, stwierdzam na widok nienaruszonego nigdzie śniegu. Miejsce może trochę dziwne, z drugiej jednak strony odpowiednie na zebranie IMCO, tak blisko morza. Robert pędzi na wydmy, ale te dwa kruki na pewno nie dadzą ci się złapać, piesku.

On żyje w tym samym świecie co ja, lecz prawdopodobnie doświadcza czegoś zupełnie innego. Można to wywnioskować z jego zachowania. Tuż nad ziemią roztacza się niewątpliwie mnóstwo zapachów, które bada ożywiony, skwapliwie węsząc. Śnieg utrwała jego ślady. Dla mnie tworzą one bezsensowną siatkę. Same skutki. Nigdzie przyczyny, nie mówiąc już o systemie.

Dobrze znam drogę. Jeśli idąc wzdłuż zasadzonych rzędów piaskownicy, będę się trzymał lewej strony, dotrę do ścieżki wysypanej muszelkami, wiodącej prosto do szarego domku, w którym odbywa się zebranie.

Przez moment mam kłopot z odnalezieniem drogi, ale wtedy słyszę trzask muszli pod butami i dostrzegam wystający zza wydmy dach. Robert chce iść dalej, ale przywołuję go gwizdnięciem.

Po zawianych śniegiem schodkach wchodzę na werandę i zaglądam do środka. Pomalowany na biało stół z czterema krzesłami. To tu. Nie dziwi mnie, że zjawiłem się pierwszy, zawsze tak jest. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby Bähr przyszedł na czas, mimo że jest przewodniczącym. Johnson i Simic zawsze dzwonią, że są w drodze, a Chauvas żartuje na temat swoich randek, które nieustannie wymykają mu się spod kontroli. Nie protokołuję momentu ich przyjscia, w przeciwieństwie do momentu otwarcia zebrania przez Bähra. Subtelny odsyłacz do oficjalnej godziny rozpoczęcia w notatniku u góry. Ale dzisiejsze spotkanie odbywa się poza kalendarzem i panowie widocznie za bardzo się nie przejmują.

Przy zielonych jak trawa drzwiach znajduje się miedziany dzwonek. Naciskam, lecz nic nie słyszę, przykładam ucho do drzwi i naciskam jeszcze raz. Dzwonek zepsuty. Odwracam się. Robert stoi na zasypanej śniegiem werandzie i macha ogonem. Nad pofalowanym wydmami kilka mew szybuje na niewidzialnych prądach powietrznych. Poza tym nie ma żywej duszy. Jak okiem sięgnąć.

Otwieram teczkę, wydaję śrubokręt i młotek. Tym razem idzie mi trochę oporniej. Odgłos uderzeń jest donośny, twardy i suchy, a ja co chwilę oglądam się nerwowo przez ramię, bo sekretarz forsujący drzwi nie jest zjawiskiem codziennym, bardzo dobrze zdaję sobie z tego sprawę.

W środku panuje lodowaty chłód. Nie ma pieca. Robert wchodzi do niewielkiej kuchni, ale na granitowym blacie kredensu stoi jedynie pusta puszcza na herbatę. Niemal wrogi, wymarłe otoczenie. Co ich na-padło, żeby się tu umawiać? A może źle zrozumiałem? Albo pomyliłem daty? Może rozdawano dokumenty obrad, a ja z jakiegoś powodu ich nie dostałem?

Siadam przy stole i patrzę przez okno na ośnieżone wydmy. Latem lubię ten krajobraz z nieco przyciemnionymi, spłowiałymi kolorami, nieprzystępnymi krzakami i niesfornymi ostami, ten wiatr przeczesujący rzędy traw na zboczach, lecz teraz moim oczom ukazuje się okolica naga i obojętna. Niebo jest szare i pozbawione wyrazu. Ta przeklęta zima!

Wiem, czasem sekretarz powinien być obecny, a czasem nie. Właściwie jest on postacią marginalną. Lecz gdy przyjdą, będę miał dla nich miłą wiadomość. Wstanę, kiedy wejdą. Najpierw poproszę o zajęcie miejsc, wyjęcie z teczek dokumentów oraz o rozłożenie i uporządkowanie ich przed sobą na stole. Spokojnie, mamy czas. Potem wstanę i zabiorę głos.

– Panowie! Od dłuższego czasu mam wątpliwości co do celowości naszych zebrań. Oczywiście wiecie równie dobrze jak ja, że zalecenia dotyczące wielkości połowów (bo nie może być to nic innego jak jedynie zalecenia) są omijane przez zaangażowane kraje wy-najmujące statki pod obcą banderą. Statystyki i wyniki połowów za zeszły rok nie pokrywają się z rzeczywistością, a poza tym jak dotąd żadna pływająca ryba nie przejęła się naszymi

komputerowymi prognozami. Na razie nie mówię niczego nowego, choć skrupulatnie próbujemy ukrywać przed światem zewnętrznym i przed sobą względną bezcelowość naszej organizacji. Teraz doszła jednak kolejna kwestia: całkowicie zautomatyzowana flota rybacka pochodząca z Japonii. Zdziwieni? Rozumiem, ale proszę jeszcze o chwilę uwagi.

Najpierw, korzystając z hydrofonów, nagrywa się pod wodą odgłosy wydawane przez ryby w czasie poszukiwania pożywienia. Następnie nagrania te są emitowane (również pod wodą) za pomocą głośników

o wielkiej mocy. W ten sposób zwabia się ryby z odległych zakątków w określone miejsce, w którym znajduje się całkowicie zautomatyzowana flota rybacka, zdalnie sterowana przez komputery. Flota ta posługuje się tak zwanymi elektrycznymi sieciami. W morzu aktywuje się pole elektryczne. Ryba, która w nie wpływa, zostaje sparaliżowana i wessana na statek przez potężne pompy.

Nagle robi mi się niedobrze. Ledwo dobiegam do werandy. Gdy przechylam się przez balustradę, mój żołądek opróżnia się w śnieg, wstrętna brązowa parująca breja, zainteresowania którą nie okazuje nawet Robert. Jest mi zimno.

Co ja tu robię? Latem w tym domu mieszkają ludzie z Bostonu, łysy mężczyzna ze swoją małą czarną żoną. Na szczęście da się tak zamknąć drzwi, że z zewnątrz prawie nie widać włamania. Mógłbym mieć kiedyś kłopoty z tego powodu. Nie oglądając się za siebie, idę ścieżką wysypaną muszelkami w stronę morza. Jeśli wrócę plażą, jest mała szansa, że ktoś mnie zauważy. Miejmy nadzieję, że wkrótce znowu zaczną padać śnieg i zasypie wszystkie moje ślady.

Chcę do Very. Chcę ją do siebie przytulić i powiedzieć jej, że jest mi przykro. Że nie powinna zostawiać mnie samego. Wszystko, co niewłaściwe, dzieje się dlatego, że zostaję pozostawiony sobie.

– Chodź, Robert, musimy natychmiast wracać do domu.

Ostry wiatr i świst, wzdychanie fal przetaczające się po twardej, gładkiej plaży. Patrę na wyrzucaną na brzeg spienioną wodę. Przeciwny prąd ściąga ją szybko od spodu z powrotem po piasku do morza. Kręci mi się w głowie, gdy dłużej się temu przyglądam.

Większość ludzi mówi o „stonym morskim powietrzu”, lecz ja nazywam je „białym zapachem”. Te brązowe jak sznurek ptaszki drepczące wzdłuż linii przyływu prawdopodobnie zrozumiałyby, co mam na myśli.

Powoli wraca mi czucie, moje zwykłe czucie. Jakby krew zaczynała krążyć we mnie na nowo. Powinienem częściej wybierać się na dalekie przechadzki. Dawniej zimą odbywaliśmy takie z tata.. Najpierw, grubo ubrani, kierowaliśmy się Bergenseweg na rowerach do Bergen-Binnen,

gdzie zatrzymywaliśmy się na miskę grochówki, a potem jednym ciągiem jechaliśmy na plażę. Ciężkie rowery zostawialiśmy w składziku punktu pierwszej pomocy i na piechotę szliśmy do Egmond i z powrotem. Holenderski wiatr był bardziej przenikliwy, ostrzejszy od tego.

Dostrzegam wystający zza ostatniego wału wydmowego długi biały maszt motelu Atlantic. Robert bezbłędnie wie, którądy mamy iść. Drewniane schodki na plażę są na wpół zasypane śniegiem, ale poręcz dokładnie pokazuje, jak biegną. Robert obwąchuje wystającą z piasku żółtą plastikową skrzynkę.

Na Atlantic Road muszę na chwilę przystanąć, bo mam zadyszkę. Pies niecierpliwie kręci się wokół mnie. Potem idziemy w stronę domu, morze mamy za sobą, a wiatr wieje nam w plecy. Mijając ceglany dom Cheeverów, przywołuję Roberta. Zanimby się człowiek zorientował, zniknąłby w poszukiwaniu Kiss, ich białego szpica.

Błękitny datsun Very stoi zaparkowany przy werandzie. Wchodzę po schodkach i zaglądam przez okno. Stoi, rozmawiając przez telefon. Stukam w szybę, ale ona tego nie słyszy. Potem nagle mnie dostrzega. Przestraszona wypuszcza z ręki słuchawkę. Macham do niej i otwartymi na oścież drzwiami frontowymi wchodzę do domu.

Kiedy pojawia się w pokoju, siedzi przy stole z założonymi rękami. Patrzy na mnie bezradnie jak dziecko oczekujące w strachu, co dorosły znowu ma dla niego w zanadru.

– Daj kurtkę.

Musi stanąć na palcach, żeby pomóc mi ją zdjąć. Siadam przy stole, a Vera wiesza ją na wieszaku. Wraca z książką w rękę, kieszonkowym wydaniem z zieloną okładką. Człowiek w prochowcu spogląda bokiem w górę na jasno oświetlony hotel na szczycie wzgórza. Tytuł brzmi *Our Man in Havana*.

– To o Kubie? – pytam. Wiem, że Vera interesuje się polityką. Chce coś odpowiedzieć, ale rozmyśla się i siada, kładąc książkę na stole, ostatnią stroną do góry.

– Maarten – odzywa się – gdzie byłeś? Oddycham głęboko i z ulgą.

– Na długim spacerze – odpowiadam. – Postano-wiłem częściej chodzić na długie spacery. To dobre na krążenie. Właściwie powinnaś była pójść ze mną, ale kiedy ruszałem, już wyszłaś. Gdzie byłaś?

– U doktora Eardly'ego. Przeraziłem się.

– Chyba nic ci nie jest?

Kładzie swoje ręce na moich.

– Byłam w twojej sprawie, Maarten. Zrobiłeś się ostatnio taki niespokojny. Robisz rzeczy, których chwilę później nie pamiętasz. Dziwne rzeczy. Poszłam po-rozmawiać o tym z doktorem Eardlym.

– Czuję się zdrowy jak ryba. Dziwne rzeczy? Jakie dziwne rzeczy?

– Kiedy wróciłam do domu, cała kuchnia była usiana ogryzionymi kośćmi kurczaka.

– Robert – mówię z wahaniem.

– Pół kurczaka, Maarten. Rano na pusty żołądek zjadłeś pół kurczaka. Puskę pasztetu. Kilka plasterków ananasa i paczkę ciastek.

– Niezły apetyt jak na starego człowieka, prawda?

– Nie ma w tym nic śmiesznego, Maarten. Ale doktor Eardly powiedział, że wspólnie możemy temu zaradzić. A na noc dostaniesz tabletki.

– Ja zawsze bardzo dobrze śpię.

– Czasem wstajesz w środku nocy. Ubierasz się.. Nie widzisz wtedy różnicy między dniem a nocą.

– To przez tę cholerną zimę – mruczę pod nosem.

Przyglądam się jej uważnie, niemal surowo, jakbym chciał ją przekonać. Ale właściwie to błagam ją o wyrozumiałość dla czegoś, czego ja sam nie rozumiem. Czegoś, co napada mnie z nienacką i równie szybko mija, pozostawiając po sobie mroczny cień paniki, powoli przechodzący w uczucie lekkiego dyskomfortu, które odczuwam teraz prawie przez cały dzień.

– Wiem, w czym sęk – mówię. – Ostatnio na zebraniu Chauvas również mi to powiedział. Drogi Maartenie, powiedział, nie pamiętasz, że rozmawialiśmy o tym szczegółowo na poprzednim zebraniu? Sprawdź w swoim sprawozdaniu. Ja już od dawna mam kłopoty z pamięcią.

– Ostatni raz byłeś na zebraniu w IMCO cztery lata temu – zauważa Vera.

– Oczywiście, oczywiście – odpowiadam. – Na-prawdę pomyślałaś, że zapomniałem?

– Doktor Eardly uważa, że potrzebujesz dużo spokoju. Przez jakiś czas nie będziesz wychodził. W twoich wspomnieniach panuje lekki zamęt. Musimy wspólnie wyprowadzić przeszłość na prostą. Naszą przeszłość, Maarten.

– Vera, nie patrz takim smutnym wzrokiem – mówię. – Wszystko sobie przypominam.

– Pomogę ci – odzywa się cicho. – Jesteśmy razem prawie pięćdziesiąt lat. Doktor Eardly powiedział, że wszystko znowu może wrócić do normy.

– Co ten Eardly o mnie wie? Przez cały ten czas, jak tu mieszkamy, byłem u niego może ze dwa razy.

– Nie powinieneś się tak denerwować. Obiecał, że niedługo do nas zajrzy.

– Lekarze! – rzucam drwiąco. – I to tu, w tym kraju z obsesją zdrowia. Nie robią nic innego, jak tylko utrzymują przemysł farmaceutyczny, fabrykantów tabletek.

– Nie powinieneś się tak denerwować.

– Już to mówiłaś.

– Wiem.

– To co ja mam robić? – Nagle mój głos brzmi matowo i bezradnie, jakbym przyznawał, że jestem chory. Dlatego, żeby zatuszować to wrażenie, mówię:

– Kto pierwszy, ten lepszy – subtelna aluzja do mojego stanu, bo już dawno się domyśliłem, jakie ten doktor Eardly ma o mnie zdanie.

– Powiedz, co robiłeś dziś rano?

Tylko bez paniki. Muszę zacząć tutaj. Tu, gdzie teraz siedzę. Śnieg za oknem. Pokój. Brzeg stołu, którego uczepliłem się obiema rękami.

– Pomyśl spokojnie.

– Jak zwykle – mówię. – To, co zawsze. Wstałem, umyłem się, ubrałem, ogoliłem, wypłem kawę, coś zjadłem.

– Kurczaka?

– Kurczaka? Nie, jak zwykle, tosta z marmoladą, z marmoladą Tinbury's, wiesz, z tego żółtego słoiczka z czarną zakrętką.

– Zjadłeś pół zimnego kurczaka z lodówki. Puskę pasztetu, kilka plasterów ananasa i paczkę ciastek.

– To przykre. Nie mogę się z tym zgodzić ani w ogólnym zarysie, ani w szczegółach.

– Do kogo ty mówisz?

– Vera – odzywam się pospiesznie, lekko dysząc – słuchaj uważnie. Nie skrzywdziłbym muchy. Dziś rano poszedłem się przejść z Robertem. Ścieżką za domem. U Stevensów w ogrodzie stał samochód dostawczy z Salem. Czerwony, bez kół. Sama zobacz. Bałagan tam jak zawsze. Pat nie widziałem. A Robert uganiał się za wronami. Poszliśmy na plażę. Pod wiatr. Biały zapach był wszędzie dookoła. Ale tylko tak sobie pomyślałem, bo inni ludzie zawsze mówią o słonym powietrzu, tata też, on także zawsze mówi o słonym powietrzu.

– Twój ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym.

Biorę książkę leżącą między nami na stole i odwracam ją z impetem.

– Naprawdę myślisz, że tego nie pamiętam? Reasumując, Bähr zawsze tak mówi na koniec zebrania: poszedłem wzdłuż morza, kawałek Atlantic Road, a potem w stronę domu. Wiatr w plecy. Jeszcze jakieś pytania?

– Dzwoniłeś do biblioteki.

– Kiedy wróciłem, rozmawiałaś przez telefon – od-parłem. – Widziałem cię przez okno. Stukałem w szybę, ale mnie nie słyszałaś. Machałem, a kiedy mnie w końcu zobaczyłaś, wystraszyłaś się i wypuściłaś słuchawkę z ręki.

– To była Joan z wypożyczalni.

– Nie chcę, żebyś tam dłużej pracowała – mówię.

– Teraz powinnaś być ze mną, Vera. Kiedy jestem sam, wszystko idzie nie tak. Ja też nie wiem dlaczego.

– Już od dawna tam nie pracuję, Maarten.

– To dobrze – mówię. – W takim razie dobrze.

Jej szczerpła twarz okolona brązowymi włosami kiwa się na pomarszczonej szyi, a oczy robią się nagle tak matowe i smutne, że wstaję, żeby ją pocieszyć. Krew pulsuje mi w skroniach, kładę ręce na jej ramionach.

– Nie tak mocno – mówi.

Moje dłonie są zimne i beznamiętne. Zabieram je i się im przyglądam, po czym wolno opuszczam wzdłuż ciała.

– Znam to uczucie – mówię. – Jakby ktoś zamknął cię we własnym domu. Takie wrażenie. Ale zawsze jest jakieś wyjście, Vera, zawsze.

Doskonale rozumiem, że musi sobie teraz popłakać. Znowu siadam.

– Jestem przy tobie – mówię. – Cokolwiek by się działo, jestem przy tobie. Będziemy musieli się przyzwyczaić, że nasz świat się skurczył, że widuje się coraz mniej ludzi, że na dźwięk telefonu ogarnia cię strach, że wszystkie dni są coraz bardziej do siebie podobne. Ale mamy siebie, Vera, nie zapominaj o tym.

I delikatnie głaszczę ją po włosach. Niech sobie po-płacze. Doskonale to rozumiem.

Człowiek może patrzeć przez jakiś czas, niczego nie widząc. Patrzeć potrafi i Robert, ale nie rozpozna puszek z herbatą ani noża do sera. Czyli patrzy, nie widząc. Sprawdź to na sobie. Zawsze pijesz kawę określonej marki, a ponieważ pewnego razu brakuje jej w sklepie, sięgasz po inną markę, inną puszkę. Gdy następnego dnia chcesz sobie zaparzyć kawę, wszędzie szukasz puszek. Zapamiętany obraz starej jest tak silny, że nowa, stojąca tuż przed twoim nosem na półce w kuchni, staje się niewidoczna. Aby coś zobaczyć, trzeba to najpierw rozpoznać. Bez przypominania sobie można tylko patrzeć. Wtedy świat prześlizguje się przez człowieka, nie pozostawiając ani śladu (zapamiętaj to dobrze, bo w ten sposób będzie można Verze wiele wytłumaczyć).

Więcej informacji na www.wnk.com.pl